NUMER 13. LWÓW, DNIA 15. SIERPNIA 1904. ROK I.

PROMYK

Prenumerata wraz z przysyłką wynosi:
w Austryi rocznie 2 K, półrocznie 1 K, kwartalnie 50 hal.
W Królestwie 2 ruble.
W Niemczech 2 marki.
We Francyi i w Szwajcaryi 3 franki.
W Ameryce pół dolara.

Numer pojedynczy 10 halerzy.



Pismo ilustrowane dla młodzieży i dzieci.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, Miłkowskiego 11.

Z pamiętnika Józia Gajka

ucznia I. klasy gimn.

Sobota, wrzesień.

Cieślik, mój kolega ma pamiętnik, to ja też sobie zrobiłem pamiętnik i będę tu pisał wszystko, co jest ważne.

15. września.

Dzisiaj nie było polskiego i już o 11-tej poszliśmy do domu! Mówią, że profesor polskiego jest chory.

Środa.

Dzisiaj na geografii pan profesor wyrwał Płonkę i powiedział: Płonka, co musisz zrobić, jak wyjdziesz na pole? A Płonka nie wiedział, i on mu kazał siąść. A potem wyrwał drugiego, i on też nie wiedział, a potem mnie i ja też nie wiedział. A on był bardzo zły i powiedział, że nic nie uważamy i nic nie umiemy, a potem powiedział: uważaj jeden z drugim; jak wyjdziesz na pole, to musisz się zoryentować. Bo tamtej lekcyi on mówił o oryentowaniu i od tego służy północ, południe, zachód i wschód. Już zryłem drugi raz z geografii.

18. września.

Wczoraj miałem się bardzo dużo uczyć i jak się już uczyłem gramatyki niemieckiej, to zasnąłem. Wtem przyszedł tato i powiedział: a ty nicponiu, ucz mi się zaraz! A potem tato powiedział: mówili mi, żebym cię dał do rzemiosła, ale ja chciałem spróbować, pamiętaj, żebyś mi wstydu nie zrobił, kto chce do czegoś dojść, ten musi popracować. A potem tato jeszcze raz powiedział: pamiętaj! i popatrzył się na mnie tak, a ja zaraz sobie pomyślałem, że będę się bardzo pilnie uczył. Już się tak nie boję w szkole, jak dawniej i poznałem dużo chłopców, tylko ten Szwarc mi dokucza, on dziś powiedział, że mój kapelusz, to jak strach na wróble.



Niedziela 22. września.

Wczoraj to umówiliśmy się w klasie z kilkoma chłopcami, że pójdziemy popołudniu za miasto, bo potem jest niedziela, to mamy czas. I było bardzo ładnie. Poszliśmy daleko, daleko, gdzie już wolno chodzić po trawie, i już nie jest zakazane i nie ma policyanta. A po drodze, to był ładny kościółek i tam wisiały wielkie kości, to ja się spytałem Haberskiego, co to za kości, a on powiedział, że to ze zwierzęcia, co żyło przed potopem, ale drugi powiedział, że to nie prawda, tylko, że bardzo dawno żyły takie zwierzęta i odkopano ich kości. To ja byłem bardzo ciekawy, co to może być, żeby się można od kogo dowiedzieć na pewno. A potem tośmy przy-

szli do lasu i wtedy ja wyjąłem z kieszeni wióry, bo oni mi powiedzieli, żebym ja przyniósł wióry, bo mój tatuś jest stolarz i zapaliliśmy ogień, a ten mały Wicuś od szewca też był z nami i on przyniósł ziemniaki, tośmy je upiekli i zjedli i było cudnie. A ten Wicuś, to on mnie się spytał, skąd się bierze ogień, on mówił, że może ten ogień siedzi w środku w drzewie, a potem wychodzi na wierzch, ale ja mu powiedział, że on jest głupi, bo w powietrzu jest taki gaz, co się nazywa tlen i on się łączy z drzewem, ale ja nie rozumiem dobrze, jak to on się może łączyć i skąd się tam bierze płomień. A potem, tośmy wrócili do domu, i przyszedł tato, i był zły na mnie i powiedział, żebym ja wiórów nie zabierał, bo są potrzebne i że się pójdzie spytać pana profesora, czy ja się tak dobrze uczę, że mam czas gdzieś chodzić i bąki zbijać, to ja się bardzo zląkłem, ale rózgą nie dostałem.

Środa.

Dziś na polskiem, to mi pan profesor kazał opowiadać to, co było zadane, to ja się bardzo zląkłem, bom się nie nauczył, bo wczoraj było dużo zadane i już było późno, a ja myślałem, że nie będę pytany, bo niedawno byłem pytany. Więc ja myślałem, że zryję, ale pan profesor powiedział: Widzisz, albo się uczycie na pamięć i potem paplacie jak papugi, albo ust nie otworzycie, a to trzeba tak opowiadać, jakbyś swemu koledze coś ciekawego chciał opowiedzieć. A potem powiedział: Wiesz ty co, już nie opowiadaj tego, co było zadane, ale opowiedz, co chcesz, co ciebie zajmuje. Ale ja nie wiedziałem, co mam opowiadać, więc on powiedział: nie bój się, opowiedz może, jak to było na wakacyach, w lecie. Ale ja nic nie mówiłem, to on powiedział, jak ty nie chcesz, to ja ci opowiem. I mówił, jak to jest ładnie w lecie, jak się wyjdzie w pole, pszenica żółta, żyto jasne, a dalej zielone ziemniaki, a dalej biała hreczka i widzi się tak daleko i ziemia, jakby ozdobiona w piękne pasy, a jeszcze dalej mgła, a las z daleka, to wydaje się niebieski i jest bardzo cicho i tylko owady brzęczą. A w polu są piękne maki i bławatki, a potem się idzie do lasu i mówił, że tam już słońce nie doścignie, tylko tak ładnie prześwieca przez zielone liście i tak bardzo ładnie mówił długo, tylko nie spamiętałem. To jest bardzo dobry profesor. A mnie się zaraz przypomniało, jak ja byłem na wsi, bo tamtego roku, to mnie tato zawiózł do babki, a moja babka ma chałupę i grunt, to ja tam byłem przez całe lato i cały dzień miałem wolny i nic się nie miałem uczyć i mogłem wszystko robić, co chciałem. Co teraz robi Siwula i Bryś i kurki? Bo z Siwulą i Brysiem, tośmy szli codzień na łąkę, na pastwisko, a tam wyżej, to rosły borówki, pełno, tośmy jedli i wszędzie mogli tam chodzić i nigdzie nie było zakazane.

Sobota 28. września.

Wczoraj, tośmy mieli bardzo dużo zadane, ale najwięcej z niemieckiego i ja się bardzo uczyłem, bo myślałem, że będę pytany, ale nie mogłem się nauczyć. Bo już umiałem na pamięć befleissen, befliss, beflissen, beissen, biss, gebissen, bleiben, blieb, geblieben, erbleichen, erblich, erblichen, gedeihen, gedieh, gediehen, gleichen, glich, geglichen, i co każde znaczy, ale jak się zacząłem dalej uczyć, to znów zapomniałem, co było przedtem i tak ciągle. To mi się zrobiło bardzo smutno, bo mi się przypomniało, co babka mówiła, że nauka, to nie łatwa rzecz, że trzeba mieć dobrą głowę, to ja sobie myślałem, że ja pewnie muszę mieć złą głowę. U nas w klasie dużo ma złą głowę. Rano, to ja wcześnie wstałem i znów powtórzyłem i już umiałem, ale bałem się, że jak się przestraszę, to znów mi się wszystko pomiesza. Więc jakem szedł do szkoły, tom sobie po drodze myślał, oj, żeby mnie tylko dziś nie pytali. Pierwsza godzina była matematyka, ale on wykładał, druga godzina było polskie, to ja się nie bał, ale potem było niemieckie, to ja się bardzo bał. I on pytał jednego i potem drugiego i ja myślał, że on już mnie zapyta, ale on mnie nie pytał i potem zadzwonili i ja się bardzo ucieszyłem i potem już miała być tylko geografia. I on przyszedł i patrzał się po klasie, a potem do notesa i nagle zawołał: Gajek! to ja się okropnie przestraszył, a on powiedział: chodź tu do mapy i ja poszedł, a on kazał mi wyliczyć wyspy na morzu Śródziemnem. To ja powiedziałem Baleary, a co dalej, to ja nagle zapomniał i nie mogłem sobie przypomnieć, a to miały być potem wyspy Pityuzy. Więc on powiedział: idź na miejsce, nic się nie uczysz, lepiejby cię ojciec dał do szewca, żebyś tu czasu nie marnował. A potem jak już zadzwonili, to już zaczęli wychodzić, a ja jeszcze siedziałem w ławce, to przyszedł do mnie Buła Zwanciger (on się nie nazywa Buła Zwanciger, my go tylko tak nazywamy, bo naprawdę, to on się nazywa Kurkiewicz) i on się zaczął ze mnie wyśmiewać i wołał: Gaja, faja! Gaja, faja! (bo on jest zły na mnie, bo mi raz mama dała jabłko do szkoły, to on chciał, żebym ja mu dał to jabłko, a ja mu nie chciałem dać) i on tak wołał i wtedy ja zacząłem beczeć. Ale wtedy przystąpił do mnie Staś Witkowski (to jest ten sam, co tamtej niedzieli, jak ja chciałem jednego żydka wytargać za pejsy, to on powiedział, że ten żydek mi nic nie zrobił i że to jest bardzo nieładnie) i on powiedział: nie płacz Gajek! popatrz się, dam ci coś ładnego i położył na ławce i poszedł. A ja się popatrzyłem i to była taka gazetka dla dzieci, więc ja wziąłem książki i poszedłem, a po drodze czytałem tę gazetkę i tam były bardzo śliczne rzeczy i opowiadania i obrazki, a na końcu, to widziałem, były odpowiedzi dla dzieci, co się pytają o różne rzeczy, więc ja zaraz sobie pomyślałem, że może i ja mógłbym się spytać o te zwierzęta przedpotopowe i może mi odpowiedzą. Muszę się spytać Witkowskiego, czy to można.

Niedziela.

Wiwat! Spytałem się Witkowskiego i on po-

wiedział, że można i zaprosił mnie, żebym przyszedł do niego. Powiedział, że zrobimy razem lekcyę, to będzie prędzej, a potem będziemy się bawić i on mi pokaże swoje zabawki i książki i może mi pożyczy jaką książkę, to będzie cudownie i wszystko, co się stanie, to znów sobie tu napiszę.



EDMONDO DE AMICIS.

Wycieczka balonem.

(Z włoskiego.)

(Dokończenie).

— Czy spadamy już? — zapytał pan Karol, nie podnosząc zgoła oczu.

— Nie! wznosimy się ciągle.

— Do kaduka!

Zdawało mu się, że przejechał już pieniądze, które zapłacił — i ja miałem również uczucie, że nie należy mi się już nic więcej! Było mi jednak znacznie lepiej, tak dalece, że powiedziałem sobie:

— Pocóż trzymasz się tak mocno sznura?

I popuściłem..... odrobinkę. Odważyłem się popatrzeć raz jeszcze przez otwór środkowy, — trwożnie, ukradkiem — i ujrzałem tam, w dolę, w bezmiernej przepaści, tłum czekających na nas podróżników, wśród wielkiej, ciemnej plamy różowe kropeczki — twarze, patrzące w górę na małą planetę z jedwabiu; spoglądałem też na nich z góry z tęsknotą! Gdybym już mógł być z nimi i przy nich!

Potem podziwiałem jezioro genewskie — jasna smuga, a na niej uwijają się i gonią delikatne komary, statki, długi szereg wiosek i wil na północnym brzegu, wydaje mi się tysiącem różnobarwnych pączków i kwiatów, ułożonych w bukiety i wieńce, z zapuszczonymi we wodzie łodygami.

Co za błogi spokój! Nie słychać ani turkotu maszyn, ani dźwięku dzwonów świątecznych, ani ryku bydła wioski szwajcarskiej, ani barbarzyńskiej muzyki murzynów, ani krzyku arabów, sprzedających kawę — żaden odgłos wystawy nie dochodził naszej wysokości. Powietrze było przeczyste — rozszerzało płuca, zdawało się płynąć przez wszystkie żyły, odmładzać krew i myśli...

Oh! wszelkie inne sposoby jazdy, jakie wymyślił umysł ludzki, któremi pędzi się przez lądy i wody wśród dymu, hałasu i kurzu, męczące widokiem nieustannego natężenia siły — jakże się wydają nieokrzesane, nużące, przygnębiające w porównaniu z tym cichym i błogim wzlotem obłoku płynącego w powietrzu, którego ruchu nie widzi się, ani nie czuje, jakby to ziemia oddalała się, a my nie ruszali się z miejsca!

Nikt z nas nie rozmawiał już, ani nie patrzył na sąsiadów. Każdy w tej napowietrznej terasie napawał się pięknością słonecznej krainy, w skupieniu ducha cichym, głębokim podziwu...

* *
*

Słyszę, jak zapytuje niecierpliwy czytelnik: Cóż potem? Jakie miałeś uczucie, gdy ziemia całkiem znikła już z oczu? Kiedy poczułeś trudność w oddechaniu? Kiedy puściła ci się krew z uszu? czy mdlałeś?

Pod tym względem winien jestem wyjaśnienia tym, którzy... jeszcze nie domyślili się. Ubliża to mocno mojej próżności. Muszę wyznać, że do balonu przymocowana była lina o przekroju 29—31 milimetrów, ukręcona z konopii neapolitańskich najlepszego gatunku. Mogła ona utrzymać ciężar przeszło dziewięciu tysięcy kilogramów, a — muszę i to powiedzieć — schodziła aż do... ziemi, gdzie okręcała się o walec poruszany maszyną parową o sile dwudziestu pięciu koni. Ta lina... właściwie.... balon, był na uwięzi.... Powiedziałem już!

O tak! możecie wzruszać ramionami, ile się wam podoba! ale zdaje mi się, że to wystarcza. Pan Karol był z pewnością tego samego zdania, bo zapytał raz jeszcze:

— Czy wciąż się wznosimy?

— Tak jest!

I wtedy stracił cierpliwość.

— Cóż on sobie myśli, ten kapitan! Gazeta mu tylko w głowie!

Nie myślałem, że można żartować na te wysokości, a jednak olbrzym zawołał:

— Oszukano nas! Nie ma już liny! Balon wolny!

Odpowiedział mu straszny krzyk rozpaczy. Żarty trwałyby dalej, gdyby z drugiej strony łodzi nie ozwał się donośny i stanowczy głos:

— Spadamy!

O słodki głosie pocieszycielu! ale, czy to prawda? Nie czuliśmy spadania, tak, jakeśmy wzlotu nie czuli. Niektórzy utrzymywali nawet, że się wznosimy.

W każdym razie spadaliśmy tak wolno, że nie zauważaliśmy początkowo wzrastania przedmiotów na ziemi.

Niepewność ta krótko trwała. Spojrzałem na dół i zobaczyłem Genewę wzrastającą. Widok rozszerzał się, budynki wystawy zwiększały się, mrowisko, które zalewało ulice i place, przybierało ludzkie kształty.

Potem odczuwaliśmy spadek coraz bardziej. Na dole, na frontonach gmachu sztuk pięknych, na ścianach, w gajach, w ogrodach, zdawało się, że posągi wzrastają, że malowidła ożywiają się, — kwiaty rozkwitają i owady wznoszą się do lotu. Szmer nieuchwytny, złożony z tysiąca pomieszanych głosów, wody, kół, muzyki, wzmagał się

coraz bardziej, a patrząc przez otwór środkowy łodzi na dół, począłem rozróżniać oczy i usta na małych twarzach ludzi, czekających aż balon zejdzie. Jeszcze chwila — już widzimy uśmiechnięte twarze, przybiegli pachołki — przytwierdzili nas sześcioma ciężkiemi kotwicami do ziemi...

Pierwszy wysiadł oczywiście pan Karol, z zasępionem jeszcze obliczem. Liczni znajomi, którzy go oczekiwali, zasypali go pytaniami. On burknął gniewnie:

— Wspaniale było!



Czarodziejskie jabłka.

Dziadzio Michasia mieszkał na wsi, to też chłopczyk u niego spędzał zawsze wakacye. Michaś był figlarzem zawołanym i zawsze wymyślał co nowego, bv wszystkich ubawić.

Imieniny dziadzia były w jesieni, więc Michałek umawiał się za wczasu ze stryjecznym bratem Stefciem, coby to urządzić za niespodziankę?

— Wiem już! klasnął Michaś w rączki. Do tego czasu dojrzeją jabłka — przyniesiemy dziadzi pełny kosz jabłek z wypisanem imieniem jego.

— Ejże! — zawołał Stefek z niedowierzaniem.

— Ale tak! zrobimy to, znakomicie będzie!

— Jakto, chcesz na każdem jabłku napisać, jak się dziadzio nazywa?

— Tak, tak! nie traćmy czasu, zabierzmy się zaraz do roboty.

— Michasiu! mamy przeszło miesiąc czasu, przecież już teraz jabłek zrywać nie będziesz, zwłaszcza, że są całkiem zielone.

— Właśnie teraz musimy zabrać się do rzeczy. Cóż ty myślisz, że atramentem pisać będę, abyśmy się wszyscy przy jedzeniu potruli?

To mówiąc, wyszukał Michaś kawałek czarnego papieru, powykrawywał w nim litery, wziął ze sobą trochę gumy — i ruszył cichaczem do sadu.

Stefek zaciekawiony, poszedł za nim.

Michaś przystawił drabinkę do drzewa i do każdego jabłka przykleił literki w ten sposób, że tworzyły napis: „Wacław“, było to imię dziadzia.

— Gdy jabłka w jesieni dojrzeją — tłumaczył Michaś Stefciowi — wtedy całe jabłko zaczerwieni się od słońca, tylko w tem miejscu, w którem je czarne litery przed światłem zasłaniały, pozostanie zielonkowaty, albo żółtawy napis.

Ciekawy Antek.

Dotychczas — jak widzieliście chłopczyki moje — opowiadał dalej pan Mateusz, byli wszyscy ludzie w gminie sobie równi, tylko ojcowie i naczelnicy rodzin posiadali większą władzę, większe znaczenie i większe poszanowanie od innych.

Państwa już w tych czasach ściągały podatki. Gdy jakaś rodzina nie mogła ich płacić, zadłużała się bądź u drugiej, bądź u państwa. Dług spłacała zaś w ten sposób, że przy nowym podziale gruntów, oddawała wierzycielowi część otrzymanego gruntu.

Antek raptownie podniósł głowę i rzekł żywo:

— Znowu się utworzyła nierówność w posiadaniu, jeden ma już więcej a drugi mniej ziemi i plonów!

— Całkiem słusznie zauważyłeś — rzekł pan Mateusz. A teraz przedstawcie sobie taką gminę, położoną nad brzegiem morza, u ujścia spławnej rzeki, lub w innem jakiem miejscu, w którem łatwą jest komunikacya. Ta gmina ściąga wiele obcych, bo położoną jest na dostępnem i korzystnem miejscu, ale rozszerzać się nie może, bo ma naturalną granicę. Cóż więc ona zrobi z napływem obcych w obec braku miejsca, kiedy jej własna ludność wzrasta i nie ma się kędy gmina rozszerzyć?

Chłopcy zastanowili się nad tem zagadnieniem, które biedną gminę spotkało i rozwiązać go nie mogli.

Otóż pierwotnie mieszkańcy gminy — ciągnął pan Mateusz dalej — niechętnem okiem patrzyli na przybyszów, pozwalali im osiedlać się tylko za pewnemi opłatami i tylko o ile byli im potrzebni. Gruntu nie dostawali przy podziałach żadnego, ani oni, ani ich dzieci, po najdłuższem nawet osiedleniu.

Tomek zawołał zdumiony: — znowu nowa nierówność! nowy przedział między ludźmi. Ale proszę pana, z czegoż ci ludzie żyli?

— Widzisz chłopcze, że niełatwem było ich położenie, mieli już gdzie żyć, jakie takie bezpieczeństwo i obronę w gminie, ale nie mieli z czego żyć. Poczęli więc wytwarzać to co umieli, chwycili się rzemiosła i sprzedawali swoje wyroby.

Przedstawcie sobie teraz tę gminę. Ludzi w niej dużo, dużo więcej niż w każdej innej, o której mówiliśmy dotąd. Jedni są właścicielami gruntu, drudzy rzemieślnikami i handlarzami; co wam ona przypomina bardziej wieś, czy miasto?

— Miasto! miasto! — zawołali chłopcy.

— Już wiem, tak powstały miasta — rzekł poważnie Antek.

— Tak jest — odpowiedział pan Mateusz.

— Czy pamiętacie ze szkoły, co to była wędrówka narodów?

Antek nie pamiętał, bo skutkiem ostatniej choroby przytępiła mu się nieco pamięć i nie powróciła jeszcze do zwykłego stanu.

Tomek przypomniał sobie po długim namyśle, iż uczył się o tem, że w bardzo dawnym czasie wędrowne ludy z Azyi wielką masą przybyły do Europy.

— Przedstawcie sobie — rzekł pan Mateusz — że napływają obce szczepy w wielkiej ilości i wypierają nas z naszych siedzib. Musimy przeto szukać sobie miejsca gdzieindziej, kolejno wypieramy innych ludzi, oni znowu innych i tak robi się ruch ludności w całej Europie.

Tak było podczas i w następstwie wędrówki narodów.

W lasach Europy mieszkały wówczas szczepy żyjące z łowiectwa i rozboju. Te szczepy wyparte ze swoich lasów, istotnie ogromne szerzyły spustoszenia.

Inne znów szczepy, które mieszkały na żyznych równinach trudniły się uprawą roli, posiadały wspólną własność, i tworzyły gminy podobne tym, jakie wam opisałem poprzednio.



Wyobraźcie sobie, że żyjemy w tych czasach, w pokoju najlepszym. Wszystko, czego nam potrzeba, posiadamy wspólnie, nie wiemy, co to bieda i waśnie. Aż tu napada nas jakiś srogi, wojowniczy, dziki szczep, pali nasz dobytek, jednych morduje, innych bierze do niewoli, zaledwie się ktoś zdołał ukryć i ujść cało. Gdy tylko dzicz przeszła, ocaleni zabierają się do pracy, odbudowania domostw i gospodarstwa. Zaledwie doszli do jakiegoś ładu i dobrobytu, napada ich nowy dziki szczep, pustoszy, jak poprzedni, przechodzi; ludzie odbudowują sobie gospodarstwa, znów je napadają i tak ciągle, raz po raz, przez pokolenia i wieki.

— Chyba w okropnym, ciągłym strachu żyć musieli ci biedni ludzie, niepewni jutra? — pytał Antek.

— Powinni byli nauczyć się bronić — rzekł Tomek.

— Bezwątpienia, ale czyż myślisz, że to tak łatwo obronić się rolnikowi, który nie przywykł do miecza, przeciw takiej dziczy, która przez całe życie tylko grabież uprawia.

— Rzeczywiście, że to trudno.

— Ja — rzekł Antek — budowałbym jakieś domy warowne, żeby mnie tak prędko dostać nie mogli.

— Masz racyę, ale dawny rolnik nie znał warowni, nie umiał jej budować, nareszcie nie stać go było na to. Bywały jednak domy z położenia swojego warowne, leżące nad rzeką, za wzgórzem lub t. p., które były trudniej dostępne od innych. Cobyście zrobili, gdyby w gminie był jeden taki dom a nieprzyjaciel się zbliżał?

— Zebrałbym wszystkich ludzi, cały dobytek, zboże i bydło, schroniłbym to do tego domu i pozwoliłbym wszystkim gospodarzom, by to samo uczynili.

— Przypomnij sobie, że dom był prywatną własnością jednego człowieka. Gdy mu tak cała wieś swoim dobytkiem dom zapełni, trzeba mu coś za to zapłacić.

— Chętnie bym to uczynił — rzekł Tomek — podjąłbym się nawet bronić tego domu w którym wspólne mienie jest złożone.

— Brawo! postępujesz jota w jotę jak średniowieczny obywatel!

Broniono tego domu wspólnie, uczyniono go nawet z biegiem czasu warownym zamkiem. Właściciel jego stał w razie napadu nieprzyjaciół na czele gminy, dowodził obroną i wogóle miał dbać o bezpieczeństwo gminy. Aby człowiek ten mógł się w interesie gminy bardziej poświęcić rycerskiemu rzemiosłu, zaofiarowali się współobywatele jego, że chętnie pomagać mu będą w uprawie jego roli. Dziesięć, lub dwanaście dni w roku pracował każdy dla tego dowódcy.

Czynili to chętnie i dobrowolnie. Stanowisko tego dowódcy było jednak takiem, że z łatwością mógł wyzyskać swoje położenie. Wystarczała po prostu groźba: „przestanę was bronić, jeżeli nie zgodzicie się robić dla mnie dłużej i więcej, lub dać mi tyle a tyle z waszych plonów“, lub t. p.

Mijały pokolenia, syn następował po ojcu, a każdy coraz to więcej żądał od gminy. Z początku współobywatele pomagali dowódcy tylko przy orce i siejbie, potem już przy zbiorach, potem przy robotach domowych. Z początku czynili wszystko dobrowolnie, potem pod groźbą, z przymusu. To była pańszczyzna.

— To już tak było — rzekł Tomek — jakby ten dowódca był panem i mieszkał w zamku, a tamci chłopami.

Rzeczywiście już tak było. W owych czasach wszystko wytwarzano w domu, bo nie było jeszcze handlu i niczego kupić nie można było. Tak jest jeszcze dzisiaj u chłopów w wielu okolicach. Nie tylko wszystkie środki żywności mają w domu, ale sieją len, przędą nici, tkają mate-

rye i szyją ubrania w domu. Tak było dawniej wszędzie.

W miarę, gdy władza i pretensye dowódcy rosły, musiały kobiety z całej gminy przez pewne dni w roku dla niego prząść, tkać i szyć. Czyniły to w jego domu i pod nadzorem pani domu.

Nie było granic żądaniom dowódcy, domagali się, żeby coraz więcej dla nich pracowano i żeby coraz to nowe składano im daniny. Było to takim ciężarem dla nich, że aby się uwolnić od części tych danin i robocizn, oddawnli panu chętnie część swojego gruntu. Wykupywali się po prostu.

— I znowu ludzie byli ubożsi a pan był bogatszy — rzekł Antek,

— Nie inaczej — odpowiedział pan Mateusz. Z czasem niektórzy obywatele nic już ziemi nie posiadali, inni bardzo mało. Pan oddał im wówczas ziemię swoją w używanie. W końcu, gdy już zaginęła pamięć o wspólnej własności, gdyż już dużo wieków od tego czasu minęło, ogłosili panowie, że cała ziemia jest ich, że chłopi wcale ziemi nie posiadali i wszyscy gospodarzą na pańskiej roli. Tak to tysiące ludzi wyzutych zostało z własności.

Chłopcy słuchali z przerażeniem.

— Gdy wojna się zbliżała, łączyli się rozmaici wodzowie razem, by wspólnie z większą siłą uderzyć na nieprzyjaciela.

Mniej potężny wódz oddawał swoje usługi możniejszemu, który go zato musiał wspierać w niebezpieczeństwie, a wszyscy mieli służyć z orężem w ręku królowi, który znowuż miał obowiązek każdego z nich bronić.

— Zauważcie, że gdy panowała wspólna własność, stanowił ród jednolitą całość, która walczyła z innymi rodami, broniła się itd.

Gdy przedmioty poczęły należeć do pojedynczych ludzi i rodzin, stała się gmina taką jednością.

Gdy zaś jeden człowiek w gminie przemienił się w pana a inni w poddanych, gdy ci panowie łączą się wzajemnie ze sobą i z królem, widzimy walczące jako jedność państwa i narody.

— Z czego żyli ludzie, gdy im ziemię zabrano — spytał Antek.

— Ziemię zabrano im jako własność, ale pozwolono używać jej, a prócz tego pewne roboty panowie dobrze opłacali. Bywały okolice, w których co szósty, lub co dwunasty snop do właściciela roli należał, resztę dostawali robotnicy. Tak było w niektórych okolicach, nie wszędzie, wszędzie jednak miał pan ogromne przywileje. Np. pewne warstaty jak np. młyny, piece piekarskie, kuźnie itp., mógł tylko pan posiadać, a kto chciał zboże sobie zemleć, pieczywo upiec, konia podkuć, musiał pójść do pańskiego warstatu, tam to robić i opłacić się panu pewną częścią mąki, pieczywa, lub pewną daniną za kucie.

Daniny i zobowiązania gniotły ludność nad wyraz, a w dodatku pan i obrona, jaką gminie służył, stała się z końcem średnich wieków zupełnie zbyteczną. Wynaleziono bowiem proch strzelniczy. Jednym rzutem ręki zmienił się cały system wojowania i minęło niebezpieczeństwo ustawicznych wojennych napadów.

(C. d. n.)

Odpowiedzi od Redakcyi.

Helusi G. w Borku. Dziękujemy bardzo za list i starannie skopiowany obrazek marynarza ze zagadki. O zagadce Helusi nie zapominamy, przyjdzie kolej na nią.

Alfredowi H. w Kołomyi. Dobrze, że Alfred poprawił na kartce rozwiązanie zagadki cyfrowej; 999·99, to ułamek peryodyczny, choćby jeszcze kilka dziewiątek dodać, zawsze mu coś do tysiąca brakować będzie! Rozwiązanie na kartce jest bardzo trafne.

Władysławowi H. w Machowie. Cieszemy się tem bardzo, że „Promyk" podoba się Władziowi — czemu nie rozwiązał Władzio łamigłówki kryształowej?

Bronisławie H. w Hołomyi. Cieszy nas to bardzo, że Broni podobała się nagroda — proszę pisywać do nas częściej.

Zosi L. we Lwowie. Dziękujemy Zosi za liścik — jakże Zosia spędza wakacye? Szukaliśmy marynarza pod mostem z lewej strony obrazka — ale znaleźliśmy go z prawej, koło chatki i okrętu.

Ignasiowi L. we Lwowie. Ignasia też marynarz nie posłuchał; zamiast pod mostem, schował się koło chatki.

Stanisławowi S. w Przemyślu. Nie wie Staś co to miało być, czy nazwisko poety, czy co takiego? A od czego łamigłówka?

Tośce N. w Krakowie Bardzo dobrze odgadła Tosia obie zagadki — ale gdzie trzecia? „Promyk" radby bardzo zawrzeć bliższą znajomość z Tosią, proszę pisywać do nas częściej. Gdy Tosia postara się odgadywać wszystkie zagadki, z pewnością nie minie jej nagroda.

Różowej Różyczce w Krakowie. Dziękujemy serdecznie za obszerny list i zagadkę, którą umieścimy w jednym z następnych numerów „Promyka". Winszujemy Różyczce do dobrego świadectwa i cieszymy się, że dostała tak piękną nagrodę. Radzimy Różyczce nie wycinać „Promyka", bo szkoda, lepiej złożyć sobie rocznik, który przyjemnie będzie odczytywać. Poszlemy Różyczce zatem drugi raz numer 12.

Trafne rozwiązanie zagadek nadesłali:

Helusia G. z Borka szlacheckiego, Biała Lilijkv ze Lwowa, Matyas G. z Przemyśla, Maryan M. ze Lwowa. Bronisława H. z Kołomyi i Alfred H. z Kołomyi.

Częściowo odgadli: *Stanisław S. z Przemyśla, Tośka W. z Krakowa, Ignacy L. ze Lwowa, Zofia L. ze Lwowa, Władysław H. z Machowy, Elżbieta S. z Myszkowiec.*

Nagrodę dostaje Helusia G. z Borka.

Zagadka obrazkowa.

Marynarz znajduje się na ścianach dwóch chatek, po prawej stronie obrazka. Leży on poziomo, głowa dotyka okrętu, a nogi prawego krańca obrazka. Ściany pierwszej chatki (bliżej okrętu) przedstawiają głowę i ciało, ściany drugiej na prawo — nogi marynarza. Aby go dobrze zobaczyć, należy obrazek obrócić prawym brzegiem ku dołowi.

Rozwiązanie zagadek Nr. 12:

Łamigłówka kryształowa

nadesłana przez Tosię S. ze Lwowa.

1					p				
2				r	o	k			
3			m	a	r	k	a		
4		k	o	n	t	u	r	y	
5	p	o	r	t	a	r	t	u	r
6		g	i	e	r	m	e	k	
7			p	o	t	a	ż		
8				m	u	r			
9					r				

Port Artur.

Figielek zagadkowy

nadesłany przez Olesia P. z Tarnopola.

$$999\frac{9}{9}$$

Łamigłówka

nadesłana przez Herminkę S. ze Lwowa.

Flis — ny – y — er — fe — por — a – ty — nig — n — ew — ry – ni — est — pe —

Ułożyć wyrazy tak, aby początkowe i końcowe litery czytane z góry na dół, dały nazwę dwóch rzek azyatyckich.

1) Szczyt w Himalajach.
2) Dwie samogłoski.
3) Pieniądz niemiecki.
4) Karność.
5) Góry.
6) Miasto w Azyi.

Szapada

nadesłana przez Leosia M. ze Stanisławowa.

Zadam tobie koncept nowy
Gdy imieniu białogłowy
Dodasz zgłoskę wyżej głowy
Będzie konny pułk wojskowy.

* * *

Nagrodę stanowić będzie tym razem mała lokomobil o motorze spirytusowym.

Figielek zagadkowy

nadesłany przez Sala G. z Tarnopola.

Ułożyłem sobie z 32 zapałek 12 komórek; po wyjęciu 15 zapałek, ujrzałem z przerażeniem — psa!

Kącik dla małych dzieci.

Bańki mydlane.

Franek i Anusia puszczali bańki mydlane. Dmuchali leciuchno w słomkę umaczaną w mydlinie — aż na końcu słomki ukazała się bańka. Z razu malusia jak kropelka, rosła i rosła, aż zrobiła się z niej wreszcie cudna, duża, kolorowa bańka. To czerwona, to zielona, to srebrna, to złota— aż miło było patrzeć na nią, to też dzieci ogromnie się cieszyły i na wyścigi puszczały ich coraz więcej.

Mydlina wyczerpała się prawie i Franek dolał trochę świeżej wody. Ale bańki były już mniej ładne i pryskały szybko.

— Dodajmy trochę mydła, powiedziała Anusia.

Dzieci zrobiły to i miały znowu ładne bańki.

Bańka tworzy się z kropli wody; dzieci wdmuchiwały (w kroplę) przez słomkę powietrze. Powietrze wchodziło w kropelkę, coraz więcej powietrza rozciągało kroplę, aż zrobiła się z niej cieniutka bańka. Woda czysta nie dałaby się wy-

dąć, bo ścianki kropli kruszyłyby się bardzo. Mydło nadaje jej giętkość.

— Powiem ci sekret Anusiu — rzekł Franek — z tego rogu miseczki są czerwone bańki, a z tamtego zielone.

Śmieszny Franek! Przecież mydlina wszędzie jest jednaka, a bańki na prawdę nie są kolorowe, choć się takiemi wydają! To światło pada na bańki i tak je cudnie oświetla, jak tęczę, a im ścianka bańki cieńsza — tem ładniej się w niej światło mieni. *B*

ORKA.

— Marynia mówiła, że wół pracuje. Co to znaczy, że wół pracuje, mamusiu — przecież wół jest zwierzę, a nie człowiek?

— Chodź Zosiu — odpowiedziała na to mamusia — przypatrzysz się, jak to wół pracuje.

Mamusia wzięła Zosię za rączkę i poszły w pole.

Na tem polu rosło przed paroma dniami jeszcze piękne, wysokie zboże. Dziś to zboże było już zrzęte, zostały tylko krótkie kawałki twardej słomy przy ziemi, samo ściernisko. Po tem ściernisku szły razem dwa woły zaprzągnięte do dziwnego wózka o dwóch kółkach, bez siedzenia. Z wózkiem połączona była jedna łopata, duża, ostra, zakrzywiona, która zamiast jednego drzewca, miała ich dwa. Za te dwa drzewce trzymał z tyłu Iwaś, przyciskał mocno do ziemi łopatę, którą ciągły woły.



— Takie narzędzie, zowie się pług — tłómaczyła mamusia i poprosiła Iwasia, aby pozwolił Zosi prowadzić pług przez chwilę. Iwaś ustąpił Zosi swego miejsca przy pługu. Zosia bardzo się starała wcisnąć pług do ziemi, była całkiem czerwona z wysiłku, ale nie mogła. Pług tylko skakał po wierzchu, gdy ona szła za nim.

Iwaś mocno z całej siły wciska ostrze pługa do ziemi, a woły ciągną je, żeby pług mógł ziemię krajać.

Zosia zobaczyła, jak się woły ogromnie wysilają, jak to trudno i ciężko pług ciągnąć.

— Chodzą tak z pługiem od świtu do nocy — rzekła mamusia.

— Rzeczywiście, że woły pracują — odpowiedziała Zosia.

— Pługiem ziemię krajać, jak to robią te woły i Iwaś nazywa się orać — tłómaczyła mamusia córeczce.

— A po co się orze? — spytała znowu Zosia.

Mamusia pokazała Zosi ziemię niezoraną i zoraną i spytała ją, czy widzi różnicę między tą a tamtą ziemią.

— Ta jest ubita mocno i twarda — rzekła Zosia — a tamta między ziutka.

— Po zaoraniu ziemi jeszcze brona rozbije grudy, a ziemia będzie jeszcze pulchniejsza. Do tej ziemi będzie się siać ziarna, aby na przyszły rok znowu na niej wyrosło zboże.

Na twardej ziemi, pełnej korzeni, nie przyjęłoby się ziarno zboża, albo nie wszystkie przyjęłyby się ziarnka, które rolnik zasieje.

Na zoranej ziemi ziarno dobrze kiełkować może, bo w taką ziemię dobrze wsiąka woda i powietrze. Dlatego się ziemię orze, aby ziarno dobrze się przyjęło.

Wydawc. i odpow. redaktorka: Jadwiga Czajkowska. Drukarnia Udziałowa we Lwowie, ul. Kopernika 20.